Nr. 19. Lwów, dnia 1. Lipca 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1 go. 10-go i 20-go.

Od Administracji.

Ze zbliżającym się kwartałem, upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty, która wynosi kwartalnie **1 złr. 50 ct.** a do końca roku **3 złr.**

☞ *Prenumeratę prosimy przysyłać wprost* **do drukarni W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7,** gdyż administracja „*Wieczorów zimowych*“ odpowiada tylko za te egzemplarze, które pod powyższym adresem będą zaprenumerowane.

Ponieważ półroczni abonenci dawnych „*Kwiatów*“ otrzymywali „*Wieczory zimowe*“ dotąd bezpłatnie, a ich prenumerata teraz się *skończyła*, prosimy ich tedy także o przysłanie prenumeraty, gdyż w razie przeciwnym musielibyśmy im wstrzymać dalszą wysyłkę naszego pisma.

Wydawca.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Przestraszona, bez tchu prawie, wpadła do izby chłopaków. Jędruś i Michałek spali przed stołem. Jeden miał głowę na dłoni, drugi trzymał brodę na pięści.

— Gdzie ociec?! Gdzie ociec?! — krzyknęła.

Mimo że głos miała potężny, żaden się nie zbudził. Wtedy do stołu przyskoczywszy, jednego uderzyła w kark pięścią, drugiego w twarz dłonią. Z krzykiem zerwali się obadwa na równe nogi.

— A gadajcie psiawiary gdzie ociec, kiedy pytam!

Chociaż ich rozbudziła, nie byli jeszcze całkiem przytomni. Obadwa oczy zaspane na matkę bezmyślnie kierowali. Przypuszczając coś najgorszego, jak zwykle w przestrachu, straciła i teraz resztę cierpliwości, skutkiem czego chciała już biednych chłopaków drugi raz poczęstować, lecz na szczęście obydwu, Jędruś rozpatrzywszy się nareszcie w położeniu, pierwszy zawołał:

— Tatunio ryby łowią.

— Ryby łowi! o! Jezu! Rety! co on też robi najlepszego. A dawno ociec poszli, dawno psiawiaro?

— Jeszcze z wieczora.

— O! Jezu! Jezu! co się z nim stało! Czego też ten poganin nie robi! A bodaj cię nieszczęście spotkało za moją zgryzotę! Wojciech! Wojciech! czy ciebie Pan Bóg opuścił, a bies opętał!... O Jezu! Jezu!

Ilekroć Marynę szarpała boleść z wielką trwogą zmięszana, zawsze wtedy mówiła tylko po polsku. Nawet zła była, jeżli kto do niej zwrócił się ze słowem niemieckiem, Wojciech bowiem często jej powtarzał, że każde nieszczęście, co na nich

spada, jedynie ztąd pochodzi, iż ona garnąc się do niemców, przez to samo oddala się od świętej religji katolickiej. Wśród wielkiej tedy trwogi i boleści, sumienie jej szeptało, że Wojciech może prawdę mówi i dlatego to słowem niemieckiem ust swoich wtedy nie kalała.

Tak jęcząc i przeklinając, z domu wybiegła. Na dworze ciemno było, że oczy wykol. Wicher ryczał coraz gwałtowniej, a chociaż deszcz dotąd nie padał, Maryna była wkrótce mokra od piany, którą fala rozhukana o brzeg bijąc daleko rzucała.

Stanęła tuż nad brzegiem i przy świetle błyskawic widziała jezioro wzburzone, gniewne, groźne.

— Wojciech! Wojciech! a com ja ci złego zrobiła poganinie, żeś zapomniał o dzieciach i o mnie nieszczęśliwej?

W ciężkiej tej chwili już jej się zdawało, że mąż wykonał to, czem jej tyle razy groził, i wypłynął na jezioro, by się utopić. Wszak wiedział, że poszła do Jaśka, a może się także domyślił, zkąd dla niego wzięła pieniędzy. Przerażona padła na kolana i zaczęła się modlić. Potem po omacku, w postawie schylonej, rękami ziemi się dotykając doszła aż tam, gdzie stał pal, a przy nim łodzie. W świetle nowej błyskawicy, co teraz zajaśniała, zobaczyła wyraźnie tylko jedną łódkę, drugiej, mniejszej, nie było.

— Wojciech! Wojciech! — jęknęła i oburącz twarz sobie zasłoniwszy, z głośnym płaczem znowu na kolana upadła.

Modliła się, jak jeszcze nigdy. Teraz już nie on był winien, lecz ona. Sama się oskarżała, że jest złą żoną i matką najgorszą i w obliczu Boga przysięgała, że się poprawi, byle jej wrócił męża, a dzieciom opiekuna. Jej rozpacz była tak wielka, że w tej ciężkiej godzinie nawet uroczyście ślubowała, iż odtąd, aby Boga nie obrażać i złego przykładu drugim nie dawać, nie tylko przeklinać, nawet nigdy swarzyć się nie będzie. Jeźli też kiedy to teraz, święcie wierzyła, że przysięgi dotrzyma.

Siła wichru zaczęła słabnąć, czarne chmury na wschód poleciały, nad niemi ukazał się sierp bladego księżyca. Zrobiło się jaśniej, fala na jeziorze kołysała się wolniej, za to trzciny nadbrzeżne, których przedtem nie było słychać, szumiały teraz jak stado żórawi gdy się do lotu zrywa.

Maryna wzrok wytężała, bo oto zdaje jej się, że o kroków kilkadziesiąt przed sobą, widzi ciemniejszy punkt na wodzie. Zaraz potem doleciał ją jakby plusk wiosła.

— Wojciech! Wojciech! — zawołała ile siły starczyły.

Z jeziora nikt nie odpowiedział, ale za krótką chwilę o brzeg czółno uderzyło, i z niego rybak wyskoczył.

— O Jezu! Jezu! jakiej mi ty poganinie zgryzoty narobił! — krzyknęła biegnąc ku niemu i aby ulżyć swemu sercu, już chciała rzucić mu na głowę kilka przekleństw, gdy w tem dotknęła się jego odzienia. — Wojciech! co ci jest, ty taki mokry?!

— Nic kobieto, nic... jeno mi się czółno wywróciło na skaliskach... ale Panna Najświętsza nie opuściła sprawiedliwego katolika... tylko włok zatonął... Chodź babo, chodź, bo mi coś zimno.

Gdy weszli do izby, Maryna aż się cofnęła na widok męża, taki był blady a trząsł się jak w zimnicy.

— Wojciechu! co tobie?

— Co?... Nic! Skąpał się człek nocą ta i tyle. Zamiast na mnie ślepie wytrzeszczać babo, zwarz mi lepiej piwa. Ale — dodał, jakby sobie coś przypomniał — pojechał?

— Pojechał, pojechał...

— A od kogo dostał pieniędzy?

— Od kogo, przecie nie od ciebie.

— Wiem, że nie odemnie. Ale zkąd tyś wzięła?

— A tobie co do tego, stary? Kiedyś sam nie dał, to nie pytaj! Mam przecie mleko, masło, i prędzej mnie na marach zobaczysz, niż mi to wydrzesz! Wzięłam i dałam, bo to nie pies, jeno nasze dziecko, a kiedyś ty się na niego zawziął, to choć ja go nie opuszczę! Czego tak na mnie patrzysz poganinie? Czy myślisz żem ukradła? A bodajeś mojej krzywdy nie wydychał!

— Ja nic nie myślę, bo mnie coś w kościach łamie... Ot zwarz mi lepiej piwa, babo. Jutro pogadamy.

— Pogadamy! pogadamy! nie doczekanie twoje! — mruczała, idąc po węgle.

XXIII.

Od przyjazdu hrabiny dopiero miesiąc upłynął, a życie we dworze trzcinieckim zmieniło się już do niepoznania. Dawniej było tu cicho jak w klasztorze — dziś jest gwarno jak w domu zajezdnym. Dawniej pani Milińska rzadko kiedy się pokazywała, teraz widać ją wszędzie z matką, w ogrodzie, nad jeziorem, w lasku, nawet na dalszych przechadzkach. A jaka przytem mowna, jaka wesoła! Ktoby myślał, że to osoba całkiem inna, która z dawną panią Eleonorą nie miała nic wspólnego. Tak ją odmieniło towarzystwo matki, z którą łączyły ją prócz węzłów krwi, także przekonania, zasady, ideje.

Dzieci i ciocia Antosia, pozostały jakiemi były. Kochały się, bawiły i największą wtedy znajdowały przyjemność, gdy były razem.

P. Miliński zmienił się także w tym czasie, chociaż nie wiele. Spospępniał i mniej niż dawniej mówił. Ani żona, ani teściowa uwagi na to nie zwracała, za to Antosia śledziła go często wzrokiem niespokojnym, nie raz chciała go nawet za-

pytać, co by mu było, lecz wstrzymywała się z obawy, by mu tem przykrości nie sprawić.

On chodził, na teściowę kierował wzrok pytający, słuchał, rozmawiał i milczał.

Hrabina mieszkała na pierwszem piętrze, gdzie jej oddano trzy pokoje. Spała tak samo jak córka do jedynastej, czasem aż do południa, gdyż ją tylko ranny sen pokrzepiał. Zaledwie jednak za taśmę od dzwonka pociągnęła, w tym samym momencie musiały w jej pokoju pojawić się przynajmniej dwie sługi. Jeżeli spóźniły się kilka minut, dzwonienie robiło się coraz gwałtowniejsze, a potem przez dzień cały głośno się skarzyła, że w tym domu tak dalece o nią nie dbają, iż kiedyś z pewnością umrze, a sług się nie dowoła. Bolesne te narzekania były tak wygłaszane, że zięć choćby nie chciał, musiał je słyszeć.

Podczas gdy się ubierała, a w czem sługi czynnie jej pomagały, słychać było bez przerwy wołania: — Prędko!... Małpo! Nie widzisz maczugo?! Czemu się gapisz *didku nawidżeny*?! Ustąp się poczwaro, bo cię zwalę!“ — Sługi wystraszone robiły, jak mogły, ale chociaż nie rozumiały wszystkich komplimentów, zwłaszcza rusińskich, które hrabina przywiozła im w prezencie aż z głębokiej Ukrainy, mimo to nie jedna dobrze się odcięła. Ilekroć to nastąpiło, pani Klementyna skarżyła się potem przy objedzie na tę straszliwą impertynencję.

— Zaiste, nie pojmuję — wołała — jakie wy tu sługi macie! Ja bym u siebie kazała taką małpę osiec rózgami!

— U nas, mamo, inne obyczaje — wtrącił p. Miliński. — My w każdej słudze szanujemy już człowieka.

— Poufalenie się z hołotą zawsze na złe wychodzi.

— Między poufaleniem się, a ludzkiem postępowaniem, jest przecie różnica.

Hrabina spojrzała na zięcia oczyma aż strasznemi. Na codzień były one niebieskawe i podłużne, wszakże ilekroć gniew nią miotał, robiły się zupełnie białe i okrągłe.

Gdy innym razem dotknęła tego samego przedmiotu, pani Eleonora zrobiła matce uwagę, że wielka szkoda, iż sług zręczniejszych z sobą nie przywiozła.

— Chciałam, ale bały się jechać aż tak daleko — odrzekła. — Na tych płatnych wrogów nigdy nie można liczyć. Lecz nie bój się, moje dziecko, już ja je tu dobrze wytresuję. Ja długo mówię i uczę, jednakże potem zaczynam bić i to zawsze pomaga.

— Pozwoli mama, że przeciw temu zaprotestuję — wmięszał się gospodarz. — U nas są inne zwyczaje, u nas nie tylko władza na nic podobnego nie pozwala, nawet one same bić by się nie dały.

Oczy pani Klementyny zrobiły się znowu białe i okrągłe, lecz nic na to nie odpowiedziała.

Pewnego razu, p. Miliński od gospodarstwa wracając, usłyszał głośny świst, który wyrywał się przez otwarte okno pierwszego piętra, na dole zaś w sieniach, ujrzał obie te sługi, które dla jego teściowej były przeznaczone, jak z chmurnemi twarzami coś z sobą szeptały.

— Co to jest? — zapytał.

— Ta to jaśnie pani świszcze na nas kiej na psy. My ta nie pójdziemy!

Poszedł więc on sam na górę i w formie jak najdelikatniejszej zrobił matce uwagę, że w całej Wielkopolsce nikt nie słyszał, by kto świstał na sługi. Przyjęła to jak najgorzej.

— A cóż ja pocznę, skoro nie mogę się ich dodzwonić, piersi zaś mam już tak słabe, że nie sposób ciągle je zwoływać.

Hrabina miała taki organ, że gdy krzyknęła przed domem, z pewnością było ją słychać z jednej strony w Komarowie, z drugiej może aż w Ujściu Leśnem.

— Zrobi mama, jak uzna za stosowne, ale mam nadzieję, że świstać mama więcej nie będzie.

Przestała więc świstać, lecz gdy zięć wychodził, wzrokiem do drzwi go odprowadzając, szepnęła:

— Impertynent!

Tak samo jak pani Eleonora, lubiła i ona czytać romanse. Fotel, na którym siadywała, stał pod ścianą, tuż pod taśmą od dzwonka. Do koła bezład był największy. Na stoliku i na posadzce leżały książki, papiery, gazety, listy przeczytane, chustki na szyję i do nosa, wachlarze, rękawiczki i tysiące innych przedmiotów, pomięszanych z sobą chaotycznie. Obowiązkiem sług było to porządkować i układać, jej zaś przyjemnością wszystko rozrzucać. Ani razu się nie zdarzyło, żeby się po co sama schyliła lub czego sobie poszukała. To należało do „małp i maczug“ nie do takiej jak ona damy. Pewnego południa zadzwoniła gwałtownie. Wbiegła służąca. Hrabina zajęta czytaniem, rzekła krótko:

— Podaj!

— Co, proszę jaśnie pani? — zapytała dziewczyna, do niej się zbliżając.

Hrabina rękę wyciągnęła i palec wskazujący ku ziemi kierując, drugi raz zawołała:

— Podaj, małpo!

— Ale co, proszę jaśnie pani?

— Podaj małpo, kiedy ci pokazuję moim palcem hrabiowskim!

Dziewczyna schyliwszy się zaczęła z ziemi kolejno różne rzeczy podnosić. — Nie to! krzyczała gniewnie ale dalej czytała, tak ją zajęły losy pary zakochanej, której opiekun niegodziwy nie pozwalał się pobierać. Nareszcie gdy już dziewczynie na płacz się zbierało, zawołała:

*

— Ależ małpo! podaj mi chustkę od nosa!

Poczytując sługi za istoty nierównie niżej stojące, niż jej *Lalunia, Finio i Finio*, nie tylko nigdy z niemi nie rozmawiała, nawet nie zaszczyciła swojem spojrzeniem, bo przecie na tak nędznych tworach oko hrabiowskie nie mogłoby się zatrzymać. Znosiła je więc jako złe konieczne, czasem jednej lub drugiej rzuciła co w prezencie, jak się psu rzuca kości kawałek, ale mimo to żądała, iżby już za to samo, że im los szczęśliwy pozwolił takiej pani służyć, słuchały jej, kochały ją i wielbiły bez granic!

Według przekonania pani Klementyny, każdy mężczyzna jest tyranem. każda kobieta nieszczęśliwą jego ofiarą. Mężczyzna w zatwardziałości swojej, ani się domyśla, jak biedna niewiasta poświęca się gdy wyszedłszy za niego, musi być potem matką jego dzieci. Już za to samo zasługuje ona na najwyższe uwielbienie, on zaś na pogardę. Ciężkiego swego losu, chociażby chciała, nie może uniknąć, gdyż jako słabsza fizycznie ulega przemocy, a jako istota z pod prawa wyjęta, musi być posłuszna. Jej położenie tylko wtedy jest znośniejsze, jeżeli mąż jej się powoduje i uwzględniając należycie poświęcenie żony, spełnienia bez opozycji każdy jej rozkaz.

Do małżeństw szczęśliwych jedynie te należą, które dzieci nie mają. Ona sama także ich nie pragnęła, pierwszy jej mąż podzielał pod tym względem zupełnie jej zasady, lecz gdy niestety dzieci zaczęły na świat przychodzić, musiała je przyjąć jako smutną konieczność. Hrabina z taką swobodą o tem mówiła i do tego w przytomności obydwu swoich córek, że p. Miliński uznał za stosowne zapytać:

— A w jakim-że celu łączą się ludzie?

— Aby się kochali, wspierali i żeby im było przyjemnie — bez namysłu odpowiedziała. — Zresztą ludzie mają obowiązki nie tylko dla krzykliwych bachorów, które po nocach spać nie dają, i z któremi dopóki nie wyrosną, nie ma się najmniejszej przyjemności, lecz także dla społeczeństwa, a przedewszystkiem dla towarzystwa, wśród którego żyją. Wierz mi Henryku — kończyła z naciskiem — cnoty towarzyskie są rzadsze, więc też cenniejsze niż rodzinne, które jako przyrodzone są wszystkim wspólne.

Zięć spojrzał na nią, głową pokręcił, ale nic nie odpowiedział. W duchu tylko pomyślał, że odtąd będzie śledził jej cnoty towarzyskie, gdyż co do cnót rodzinnych, te w niej były tak liczne i uderzające, iż każdy a więc i on musiał się z niemi prędko zapoznać.

Ponieważ dzieci nigdy nie pragnęła, przeto i dla wnuków nie miała nic więcej, krom czczych wykrzykników od ludzkiego oka, któremi przy każdej sposobności lubiła się popisywać. W nieprzebranym swoim słowniku nazywała je na co dzień „nieznośnymi bębnami i bachorami,“ które nic innego nie robią, tylko „wrzeszczą i łby sobie rozbijają.“ Ojciec słuchał tych wyrażeń z początku cierpliwie, wszelako gdy ich już miał za wiele, rzekł pewnego dnia głosem drżącym:

— Wiem, że mama dzieci nie lubi... Uczuć macierzyńskich do serca mamie nie będę wlewał, takich bowiem rzeczy nikt na świecie drugiego nie nauczył, ale ponieważ ja sam dzieci kocham, przeto aby mnie przykrości nie sprawiać, zechce mama przez samą przyzwoitość wyrażać się o nich inaczej. Ja nie zwykłem tak się odzywać nawet o dzieciach żydowskich. Bardzo mamę o to proszę.

Znowu jej oczy zrobiły się okrągłe i pobielały. Nic jednak nie odpowiedziała. Od tego też dnia wszystkie wnuki bez wyjątku zostały u niej „cudownemi aniołkami.“ Ale mimo to nigdy żadnego na ręce nie wzięła, nigdy nie zaglądnęła do ich pokoju, nigdy nie zapytała dla czego jedno lub drugie płacze. Przy objedzie pamiętała o swoich pieskach, którym na miseczkach kazała dawać jeść w tym samym pokoju; za to o wnukach utrzymywała, że najlepiej by było, gdyby jadły w „dziecjarni“ w sali bowiem jadalnej robią za wiele nieporządku i harmideru.

— Dzieci moje będą zawsze tam jadły gdzie i ja! — zięć na to krótko odpowiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

XVI.

W kilka dni później. panią de Moisieux spotkały odwidziny, które wprowadziły jej myśli na inne tory, wywracając z gruntu wszelkie plany. Z piórem w ręce odczytywała list gruby, który tylko co była odebrała od pewnego bankiera z Londynu. Utrzymywała z owym bankierem korespondencję bardzo ożywioną, czego pan Cantarel ani się domyślał, mimo iż w pocie swego czoła zdobył był prawo wiedzieć o wszystkiem. Kobieta może wprawdzie zwierzać się z wielu rzeczami swojemu powiernikowi, wszystkiego jednak nigdy mu nie wyjawi. Liczby, któremi list był przepełniony, przepisywała w osobnej książeczce, oprawnej w pąsowy marokin. Liczb nigdy się nie obawiała, a te zdawały się jej nawet sprawiać wielką przyjemność.

Nie ma atoli szczęścia bez chmurki. Gdy schowała nakoniec książeczkę drogocenną wraz z listem, do skrytki w sekretarzu, do której nikt nie miał przystępu, usiadła nieopodal na sofce i przez chwilę mocno zafrasowana, oglądała swoje paznogcie. Przechodziła w myśli rozmowę wczorajszą z synem, który powrócił z Paryża cały wzburzony ważnem odkryciem. Skoro wysiadł, wykrzyknął w swoim stylu obrazowym: — Trzymam nareszcie zająca za obydwa słuchy. — Porównanie było z gruntu fałszywe. Pan Val-

port w niczem zająca nie przypominał; uszy miał małe i nikt by się nie mógł był pochwalić, iż widział go biorącego nogi za pas, choćby przed strzelcem najgroźniejszym. Mimo zapewnień najsolenniejszych, mimo dowodów niezbitych, które jej przedkładał, ten człowiek tak silnie przekonany nie zdołał przekonać swojej matki Oświadczyła mu ona krótko i węzłowato, iż plecie bez krzty zdrowego sensu. Można jednak nie być przekonanym a mimo to być mocno zaniepokojonym; margrabina powtarzała raz po raz w duchu:

— Gdyby tak było, warto by się nad tem zastanowić, rzecz byłaby bardzo wielkiej wagi Ale to nie może być prawdą!

Utonęła właśnie w myślach frasobliwych. gdy Lara wpadł jak wicher do pokoju — nie mogła go oduczyć tego przyzwyczajenia nieznośnego — i podał jej bilet wizytowy jakiegoś nieznajomego, który chciał się z nią widzieć i nazywał się Feliks Mongiron. Nazwisko nie wiemy dlaczego wydało się jej bez znaczenia; wyobraziła sobie. iż ów ktoś był komiwojażerem, ofiarującym jej swoje usługi. Po chwili wahania, zdecydowała się jednak przyjąć go i zobaczyła zjawiającą się we drzwiach salonu osobistość, która na pierwszy rzut oka zaciekawiła ją niesłychanie.— Był to człowieczek małego wzrostu, szczuplutki, z minką skromną a chytrą, z oczkami bystremi i szperającemi w koło, z twarzą mocno szpiczastą, na środku której rozsiadł się nos potężny i ostry jak pałasz, ozdobiony brodawką o kilku ciemnych włoskach. Od stóp do głowy czarno ubrany, w rękawiczkach świeżuteńkich, przedstawił się z całą swobodą i pewnością siebie, choć nie mniej z wielką grzecznością i uszanowaniem. Wchodząc, skłonił się niziuteńko, przeszedł przez salon krokiem drobnym i przyspieszonym, zasiadając na fotelu, zanim go ktokolwiek do tego zachęcił Nim usiadł jednakże, ukłonił się powtórnie pani de Moisieux tak nisko, jakby chciał przed nią uklęknąć. Zdawać się mogło iż ją bierze za rodzaj ołtarza.— Następnie podziękował jej z obleśnym uśmiechem, iż raczyła go przyjąć. Mówił głosikiem cieniutkim, trochę przez nos, słodziutko i pieszczotliwie Margrabina wpatrywała się w niego ze zdziwieniem i trwogą nieokreśloną; spostrzegła w nim sprzeczności uderzające; wydawał się jej lisem obłaskawionym i w miodzie umaczanym.

— Pójdzie z kwitkiem — pomyślała—nie znajdzie tu głupich, niedoświadczonych gąsek, które by mu się dały schrupać bezkarnie.

Jeszcze raz przypatrzywszy mu się bacznie, była pewna, iż to ajent wysłany przez jakieś towarzystwo, aby ją namówić do przyjęcia w niem udziału.

Miała słuszność poniekąd, jednak omyliła się cokolwiek. Sprawy, któremi zajmywał się pan Mongiron, były czemś zupełnie odrębnem, i ta. którą jej miał zaproponować, różniła się wielce od tego, co sobie była wyobraziła. Miał on w życiu wielki zawód i ciężką zgryzotę, poczem nigdy się już nie mógł zupełnie pocieszyć Pierwszą młodość przehulawszy, z takimi jak on sam łobuzami, zamarzył później o zdobyciu adwokatury. Marzenie spełzło na niczem; organ przez nos i piersi za słabe, stanęły mu na drodze zaporą niezwalczoną. Odkrył na szczęście, iż jeżeli w sali trybunału, potrzeba mieć głos donośny, są inne pokątne zajęcia, jeszcze niemal korzystniejsze niż sama adwokatura, i że można zdobyć nie tylko chleb powszedni, ale nawet zrobić majątek, mówiąc cicho, cichuteńko. Ajencja tonąca cokolwiek w pomroku tajemniczym, którą utworzył, przynosiła mu bardzo znaczne dochody; klientelę swoją łowił w sferach najwyższych, gdzie nim wprawdzie pomiatano, ale płacono tem hojniej. Nauczył się obchodzić filozoficznie, bez owego drobiazgu, nazywającego się szacunkiem; wszak cechą mędrca prawdziwego było, jest i będzie, możność obywania się bez pewnych dodatków w życiu, które półgłówkom wydają się niezbędnemi. Czuł się potrzebnym, a nawet wielce pożytecznym; to przekonanie wystarczało mu najzupełniej. Naprawdę, gdyby tacy Mongiron'owie nie istnieli, ludzie uczciwi byli by nieraz w nie lada kłopocie. Pewien poeta grecki powiedział: — że nie trzeba dać się opanować łotrom. ale nader trudno panować bez ich pomocy. — Jakkolwiek czystemi mogą być ich chęci, jakkolwiek wzniosłym cel wytknięty, ludzie i najuczciwsi, dążący do panowania nad światem, muszą częstokroć uciekać się do sztuczek i środków, nie koniecznie prawych. Jest to dla nich bolesna konieczność, nie lubią bowiem brukać sobie palców i sumienia; ale cóż! życie składa się z samych ciężkich przeciwności. Radzą sobie zatem jak mogą i pocieszają się grzesząc przez prokurację. Gdy się ma skrupuły udaje się do takich o pomoc, którzy od dawna żadnych skrupułów nie znają. Posyła się po Mongiron'a, tłumaczy mu się całą sprawę; czyż trzeba mu zresztą długich wywodów? Nie byłby Mongiron'em, gdyby w lot wszystkiego nie zrozumiał Rozgrzesza się go naprzód ze wszystkiego, nakazując surowo, aby rachunków z czynności swoich nie zdawał; pragnie się pozostać w świątobliwej nieświadomości. w niewinności niemowlęcia, obmytego wodą chrztu. Jeżeliby przypadkiem takiemu Mongiron'owi noga się powinęła, jeżeliby wziął się do rzeczy niezgrabnie i dał się wyłapać na gorącym uczynku, można go się zaprzeć wszem w obec. Najczęściej atoli, taki Mongiron jest sprytny, idzie mu wszystko jak z płatka, a w końcu wychodzą z tryumfem, cnota, świątobliwość i dobra sprawa.

Magrabina była sama nadto zręczną i doświadczoną, aby nie rozpoznać natychmiast w panu Mongiron nie lada specjalisty. Jeżeli jego pyszczek zaszpicowany, zdradza lisa chytrego. z sumieniem nader szerokiem i które nie bawiło się wcale w zbyteczne skrupuły, ułożenie pełne powagi i niemal namaszczenia. kazało się domyślać spraw wielkiej donicsłości Na wąskich ustach tego robotnika nie bardzo w środkach przebierającego, przesuwały się z kolei, to uśmiechy podstępne, iście szatańskie, właściwe tej lisiej fizjonomji, to obleśne i słodziutkie, pożyczone od ludzi świątobliwych, o których się z częsta ocierał. Wyraz oczu zmieniający się co chwila, dowodził również, iż jakkolwiek niepozornie wyglądał, było dwóch ludzi niejako w tym małym człeku: jeden utworzony ze wszystkiemi członkami przez naturę, drugi sztuczny i niedokładny, jak każdy wytwór ludzkiej industrji Wlepiwszy zrazu w margrabinę wzrok niemal arogancki, natychmiast dał nura, skurczył się, radby był prawie zniknąć z powierzchni ziemskiej. Następnie rzucił się w tył, oparł o fotel, patrząc w sufit okiem czule zamglonem i kręcąc w palcach kapelusz jedwabny, tak samo jak rękawiczki świeżości nieposzlakowanej. Na jego lisiej fizjonomji czytało się wyraz pełen zachwytu, jakby po za sufitem dostrzegał strefy niebiańskie i obcował z całą niebiańską hierarchią. Niebo widocznie było mu dobrze znane, musiał tam być mile widzianym, może miał tam nawet przyjaciół. orędowników, wszechwładnych protektorów, czuł się tam jak u siebie.

— Pani margrabino — przemówił głaszcząc ją słodkiem spojrzeniem — jesteś kobietą tak dystyngowaną, tak wysoce wykształconą, iż pochlebiam sobie, że zdołam się z nią porozumieć w kilku słowach, i nie będę potrzebował rozwodzić się długo nad ważną sprawą, która mnie tu sprowadza. Śmiem twierdzić, iż zgodzimy się na jedno, i będziemy nawzajem z siebie zadowoleni.

Zatrzymał się, jakby chciał jej dać czas do namysłu i do zadania mu jakich pytań. Ponieważ milczała zawzięcie, mówił dalej po chwili:

— Idę prostą drogą do celu... taka już moja natura. Powodem do wizyty, którą pani składam, jest chęć nieprzezwyciężona, pogadania z panią poufnie o pewnej ślicznej panience, którą szczęśliwy zbieg okoliczności sprowadził tuż pod bok pani i z którą utrzymujesz bardzo częste sąsiedzkie stosunki. Wiem, iż nikt nie potrafi bieglej od pani czytać w jej sercu i wywrzeć wpływ zbawienny na jej uczucia i poglądy; uchodzisz bowiem margrabino, za kobietę o tyle sprytną i zręczną o ile jesteś niemal jasnowidzącą i wiadomo, że..

Przerwała mu tonem suchym i wyniosłym:

— Mylisz się pan z gruntu i nie sądź, żebym...

— Ach! pani—on nawzajem nie dał jej dokończyć— my nie mylimy się nigdy... my, wiemy!

Spuściła cokolwiek z tonu impertynencko-lekceważącego. Przejrzała nagle, kim jest właściwie ta figura, mówiąca raz „ja“, a potem znowu „my“. Zdało się jej, iż mizerny człowieczek rośnie w oczach, że jego organ nosowy wart, żeby go słuchać uważnie; nawet brodawka na nosie uderzyła ją, jako przedmiot interesujący, godny studjum osobnego, a nuż się coś po za nią ukrywa? Słowem: odgadywała ważność tej osobistości, poznawała w niej wysłannika wielkiej światowej potęgi, z którą każdy musiał się liczyć. Najszczytniejsze dążności miewają podszewki, a tą podszewką jak zwykle taki Mongiron. Spojrzała na niego z uśmiechem dość kwaśnym, nie rada by była bowiem tak od razu broń składać. Wreszcie skinęła ręką, jakby chciała powiedzieć: — „Idźmy dalej.“

— Ta śliczna dzieweczka — znowu przemówił — jest nam drogą z wielu względów i uważamy ją już prawie jako do nas należącą. Na nieszczęście mamy rywali, chcą nam ją wydrzeć. Może nie doszło to jeszcze do pani, że przed trzema dniami była u swojej ciotki, czcigodnej matki Augustynki, i że te odwidziny zrobiły na owej ciotce nader niemiłe wrażenie. Zdawało się tej matce wielebnej, iż dzieje się coś niedobrego z tem młodem serduszkiem.. Otóż cała sprawa da się streścić w tych kilku słowach: Chcą nam gwałtem odebrać pannę Maulabret, my zaś pragniemy ją zatrzymać.

Znowu spoczął, ale margrabina i tym razem ust nie otworzyła.

— Lubiłem zawsze grać z otwartemi kartami — przybrał ton lżejszy, niemal poufały. — Wiem.. to jest właściwie... wiadomo nam... iż i pani zagięłaś była parol na ową panienkę... Oh! nie wypieraj się pani!... mamy szczegóły z pierwszej ręki, bo od samej panny Maulabret... Eh! pani margrabino, wcale tego za złe ci nie bierzemy! Czegoż by się nie przebaczyło biednej matce, która z duszy radaby syna ożenić, syna prawie niemożliwego do wyswatania? Jakkolwiek plan cały był usnuty znakomicie i mimo pani zręczności niezrównanej, zechcesz przyznać sama, iż powodzenie wydaje ci się wątpliwem... A więc!... nadzieje pani, chociaż tak niepewne, gotowiśmy odkupić. Z rączki do rączki, kochana pani; wierz mi, iż nie byłbym się tu pokazał, gdybym nie był miał niczego nawzajem do ofiarowania. Znamy pewną dziedziczkę z rodziny mieszczańskiej, ale bardzo porządnej, którą możemy wedle naszej woli rozporządzać.. Wolimy mieć w pani aljantkę niż przeciwniczkę. Obiecaj nam pani pomoc w tej sprawie, a dziedziczkę syn jej dostanie. Wprawdzie tak jakby zaręczona z innym, ale zerwiemy układy, dając pierwszeństwo pani.

Otworzył żywo rękę prawą, którą dotąd miał zaciśniętą; w garści trzymał dziedziczkę. Margrabinie zdawało się, iż widzi jej niepewne kontury i serce o mało jej z piersi nie wyskoczyło z nadmiaru radości. Nie można jednak nigdy być dość ostrożnym.

— Jakkolwiek ufność mógł byś pan budzić we mnie — wtrąciła sucho — słyszałam zawsze, iż wyprawiając ambasadorów, dla większej wiarogodności obdarza się ich listem uwierzytelniającym i mocno żałuję, jeżeli...

Nie dał jej dokończyć. Sięgnął szybko w zanadrze i wydobył pulares z okiem Opatrzności, wyhaftowanem perełkami. Z tego pularesu wydobył list, podając go margrabinie, z ukłonem niemal do samej posadzki. List krótki, ale treściwe te słowa zawierał:

„Pozdrawiając serdecznie i z wysokim szacunkiem margrabinę de Moisieux, proszę, żeby raczyła przyjąć łaskawie pana Feliksa Mongiron, i wierzyła wszystkiemu, co Jej powie.“

Tych kilka wierszy były podpisane przez osobistość wybitną, znaną z dawnych, dobrych czasów pani de Moisieux, która odznaczała się gorliwością cokolwiek za gwałtowną i czasem nie zbyt dyskretną, w uprawianiu Winnicy Pańskiej. Teraz pewna swego, margrabina nie posiadała się z radości. Spojrzała z uśmiechem na posła, jak się patrzeć zwykło na swego koleżkę.

— Przyznaj się pan.. wszak garbata, nieprawda?

— Ależ pani! — wykrzyknął oburzony — czyż godzi się mnie posądzać, żebym śmiał jej proponować na synowę garbuska?! Gdyby zresztą.. znalazła się w jej kibici, jakaś drobna nieprawidłowość, od czegoż sztuka chirurgiczna, która obecnie cudów dokazuje? Zaradziło by się temu natychmiast... Tak źle jednak nie jest. Mój Boże! nie powiem, żeby była wzorem piękności...

— Ha! ha! ha! widzę ją stąd! — margrabina śmiechem parsknęła — monsterko jednem słowem!... A posag ile wynosi?

— Postaramy się wydobyć półtora miljona... Wszak z góry pani miałem honor zapowiedzieć, iż rozejdziemy się zadowoleni z siebie nawzajem.

— Czegoż pan właściwie żądasz i czego się po mnie spodziewasz? — żywo odrzuciła.

— Oddano pani mój bilet — odpowiedział wymijająco głaszcząc dłonią kapelusz — Na bilecie znajdziesz pani mój adres najdokładniejszy, śmiem spodziewać się, iż wkrótce odbierzemy od niej jakąś dobrą wskazówkę.

Na to ona szepnęła: — Nic jeszcze niewiem... być jednak może...

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Edward gorączką miotany, wpadał w coraz większą egzaltację.

— Przybywajcie! — wołał na głos cały. — Przybywajcie. wszyscy synowie Irlandji. I wy, którzy niegdyś walczyliście i ginęli za tę samą sprawę, wychodźcie z mogił, patrzcie! Oto wschodzi jutrzenka swobody — potargaliśmy pęta ohydne!... skruszone okowy leżą u stóp naszych!...

Zdawało się istotnie. iż duchy pomordowanych z grobu wywołuje. A w miarę jak te zjawiska ku niemu płynęły, rozpoznawał je z kolei i wymieniał po nazwisku, jakie niegdyś na ziemi nosiły:

— Ach! ach! Witaj! witajcie! Brian-Born! Malachy! dzielni pogromcy Duńczyków! Uwolniliście od nich niegdyś Irlandją. ale nowy najezdca, stopą zuchwałą po niej depcze i lud nasz ujarzmia. Wypędźcie i tego ciemięzcę!... Czyż nie widzicie Laurence'a wielkiego biskupa z Dublina, który wam z nieba błogosławi! O'Ruare Roderic i Robert Bruce. są tu także i pospieszą wam z pomocą! Z nimi połączą się, O'Neil, O'Brien, O'Connor'y, Jerzy Moor. Desmond'y, wszyscy bohaterowie, cały zastęp męczenników, którzy ginęli jedni po drugich. w walce nigdy nie wygasłej, praw naszych, z Anglji dziką przemocą!

Lekarzowi udało się jednak, pochwycić go za obie ręce. Zmusiwszy do siedzenia, przemówił do szaleńca:

— Strzeż się milordzie i staraj się pohamować w sobie egzaltację chorobliwą, która w twoim stanie osłabienia, mogła by łatwo zapalenie mózgu spowodować Nie pozwolę dłużej na takie niebezpieczne halucynacje! Doprowadziły by cię one drogą najprostszą. do szaleństwa!

Surowe przemówienie lekarza, brzmiące niemal jak rozkaz, przywiązanie i troskliwość ojcowska, którą się w oczach starca czytało, zapanowały wreszcie nad szałem gorączkowym Edwarda.

— Nie! nie! — odpowiedział tonem spokojnym, do którego zmusił się nadludzkim wysiłkiem — Jeszczem przecie zdrowych zmysłów nie utracił... To tylko gorączka... Drzemałem.. śniłem.. Przypadek zdarzył, iż sen mój stał się rzeczywistością.. Nie lękaj się, wierny mój przyjacielu.. Napad przechodzi... już przeszedł.. Wszak jestem zupełnie przytomny, nieprawdaż?

Tak było istotnie.

— Dobrze! doskonale! — lekarz uśmiechnął się łagodnie—teraz jestem z mojego pacjenta zupełnie zadowolony!.. Czekajmy!.. Nadsłuchujmy!..

Obydwaj słuch wytężyli. Odgłos walki cichnął i oddalał się widocznie.

— Odparto atak — starzec szepnął smutno. — Pobici!...

— Wrócą! wrócą na pewno! — krzyknął Edward.

— Tylko spokojnie! — wstrzymał go lekarz ręką i tonem czułej prośby. — Możemy li życzyć im w duchu, jak najlepszego powodzenia. Zresztą niczem nie przyczynimy się do zwycięstwa. Stan twojego zdrowia milordzie, twój system nerwowy. w najwyższym stopniu rozdrażniony, moja szczera przyjaźń, włos siwizną okryty, upoważniają mnie do obchodzenia się z tobą, jakby z synem rodzonym. A zatem żadnych uniesień, żadnych ekscytacyj! Siedzieć cicho i czekać cierpliwie!

Edward obiecał posłuszeństwo i słowa dotrzymał. Siedział bezwładny w fotelu mistrza, gdzie go tenże niemal przemocą usadowił i patrzał na starca w milczeniu, który tymczasem zbierał i pakował swoje manatki. Odtąd tylko bardzo rzadko i bardzo zdaleka, dochodził do nich odgłos wystrzałów. Powstańcy musieli być w rzeczy samej na wszystkich punktach pobici. Zwątpienie opanowywało Edwarda Jego ponura nieruchomość, zaczynała być również zatrważającą Dreszcze nim wstrząsały W końcu dostał jakby napadu zimnej febry. Drżał konwulsyjnie na całem ciele. Zęby mu głośno dzwoniły.

— Zwykła reakcja! — mruknął doktor — po zbytecznem nerwów naprężeniu. Musisz milordzie położyć się nazad do łóżka... musisz koniecznie!

Edward nie protestował. Bezsilny dał się do pokoju odprowadzić i położyć do łóżka, jakby w rzeczy samej był dzieckiem. Pod kołdrą i szalem, ogrzały się cokolwiek członki skostniałe i uczuł się silniejszym. Był jednak tak zdenerwowanym, iż samo myślenie go trudziło. Zapadał w stan dziwnego, ciężkiego odrętwienia, a jednak oczy miał szeroko rozwarte.

— Spać! — lekarz ostro zakomenderował — to nie tylko przepis doktorski, ale również rada prawdziwego przyjaciela!

Chory przymknął wreszcie powieki Gdy oczy otworzył, słońce stało wysoko na niebie. Lekarz był przy łóżku, z flakonem w jednej ręce, a z zegarkiem w drugiej.

— Ósma godzina — zauważył — Przyjdą niebawem odwidzieć cię milordzie.

— Tak sądzisz doktorze?

— Jestem najmocniej przekonany! Aby sił nabrać. żądałeś odemnie kordjału pokrzepiającego, skoro się obudzisz...

— Prawda!.

— Przygotowałem go.. wypij milordzie!

Lekarz flakon odkorkował i podał pacjentowi. Edward do dna flaszeczkę wysączył Mikstura była mocna i gorżka. Aż się wzdrygnął wypiwszy.

— Zdaje mi się — szepnął, unosząc się z trudnością na poduszkach—zdaje mi się, jak gdybym ognia w żyły nalał... — Tak.. zapewne!.. zrozumiałem!... Przyjdzie matka, Łucja Kornelja, moja biedna żona z swojemi sierotami... Dziatki drogie! moje maleństwa kochane!... Jam to powinien dodać im siły, otuchy..

— Pomogę ci w tem milordzie — wtrącił starzec.— W dwóch, jakoś łacniej nam przyjdzie pocieszyć biedne kobiety.

— Szczególniej, pamiętaj o nich przyjacielu, gdy mnie już nie stanie! Może to ostatni ranek w mojem życiu!—Uśmiech smętny pojawił się na jego bladych ustach. — Jak słońce dziś pięknie świeci! — mówił dalej, wyciągając ręce wychudłe do ciepłego i ożywczego promienia, który złocił cały pokój, wpadając z góry przez kratę w oknie. — Czyżby chciało się ze mną pożegnać? Nie widziałem blasku tak olśniewającego, od mojego z Kildar wyjazdu.. Tej nocy.. we śnie, widziałem tę ustroń rozkoszną... Zamek, ogród, wszystko kwitło, woń cudowną roznosząc... słowik trele wywodził... Pamela, dziatki, do mnie się tuliły... Byłem znowu najszczęśliwszym mężem i ojcem! Pamiętasz doktorze, jakie to złote dni szczęścia snuliśmy tam, w tem naszem gniazdku cichem i rozkosz-

nem? — Dwie grube łzy stoczyły się zwolna po zapadniętych policzkach chorego.— Nie myślmy o tem więcej!—silił się opanować mimowolne rozrzewnienie i łzy otarł ukradkiem. — Teraz trzeba się godnie na śmierć przygotować. Wzmocniłeś ciało przyjacielu, pokrzep że jeszcze ducha, dając mi tę tam świętą księgę. Spodziewam się, iż nie odmówią w chwili ostatniej księdza katolickiego. Chcę się tymczasem przygotować, czytając Passję naszego Zbawiciela.

Starzec przyniósł nowy testament i otworzył go w miejscu wskazanem.

— Prawdziwe z góry natchnienie! — zauważył jednocześnie. — To także kordjał niezrównany! kordjał boski! Przygotuję cię milordzie, skuteczniej niż wszelkie moje lekarstwa, do ciężkiej chwili, którą masz przebyć. Chciej czytać głośno. Słucham.

Usiadł naprzeciw Edwarda, bacznie się w niego wpatrując. Wzrok starca był tak przenikający, jakby chciał nim pacjenta zamagnetyzować. Edward zaczął czytać Ewangielją głosem donośnym, który jednak zaczynał zwolna zniżać się, cichnąć, niby głos usypiającego. Gdy doszedł do miejsca szczytnego: „Ojcze mój! jeżeli można, niechaj odejdzie odemnie ten kielich goryczy, wszakże nie jako ja chcę, ale jako ty!“ Zatrzymał się, a gdy chciał czytać dalej, zaledwie mógł już poruszać ustami. Walczył widocznie z opanowującą ciało sennością.

Przy końcu szczytnego opowiadania, uczuł drgania nerwowe, a po nich następywała jeszcze większa bezwładość. Twarz w oczach się mieniła. Głos i wzrok był dziwnie nienaturalny. Wola jednak żyła w nim jeszcze, czytał więc dalej aż do końca z nadludzkim wysiłkiem:

Zwodziciel on powiedział za życia: „Po trzech dniach zmartwychwstanę.“ Przetoż rozkaż, aby strzeżono grobu aż do dnia trzeciego, aby snadź przyszedłszy uczniowie jego nie ukradli i powiedzieli ludowi: powstał z martwych.

Na te słowa, czy Edward miał w rzeczy samej objawienie, iż mogły by się do niego stosować?... Zerwał się, wyprężył, z oczami szklannemi, szeroko roztwartemi, chciał mówić, ale z ust sinych, wychodziły już tylko dźwięki głuche, urywane, niezrozumiałe: Księga z rąk mu się wysunęła i nadaremnie starał się ją nazad pochwycić. Do reszty wycieńczony upadł na łóżko zupełnie uspiony.

Lekarz, który śledził niespokojnie przemian rozmaitych po zadaniu trunku usypiającego, podniósł księgę świętą, złożył ją na dawnem miejscu, a kreśląc znak krzyża na piersiach Edwarda, rzekł cicho i z głębi serca:

— Boże! Tobie go teraz oddaję! Ty nas wspieraj! Ty bądź nam ku pomocy!

Wziął za puls. Już go prawie nie było.. gasł... ręka stygła, kostniała... Serce również bić przestało. Na twarzy osiadł cień śmierci. Stawała się coraz bledszą, nieruchomą i jak lód zimną. Lekarz poczekał jeszcze kilka minut. Wreszcie zapukał do drzwi prowadzących na korytarz.

Odsunęła się nad drzwiami nie wielka deszczułka, a w otworze ukazała się twarz dozorcy.

— Uprzedzić natychmiast wice-króla — lekarz rzekł uroczyście — iż lord Edward Fitz-Gerald, skonał właśnie na moich rękach.

XXX.

Pochód nocny.

W chwili gdy księżna Leinster miała udać się do więzienia, kamerdyner zapowiedział wice-króla. Uważał on za powinność, oznajmić matce Edwarda osobiście o śmierci jej syna. Było to ze strony tak wysokiego dygnitarza, dowodem nie lada czci i życzliwości. Mimo iż była uprzedzoną i wiedziała na pewno, że to tylko letarg księżna uczuła głębokie wstrząśnienie.

Tankred poddał jej od dawna, o co ma natychmiast prosić wice-króla:

— Nie mam serca odmówić ci księżno tej jedynej w ciężkim smutku pociechy — odpowiedział lord Cornwallis po chwili namysłu — dla ciebie jednak samej, musimy unikać drugiego zbrojnego rozruchu. Nic zatem nie rozgłaszając, czekajmy nocy. Aż do tej chwili proszę z domu nie wychodzić i nikogo nie przyjmować. O dziesiątej w nocy, zwłoki syna, którego los zawistny nie pozwolił nam oddać ci żywego, odjadą prosto z gmachu więziennego do grobów familijnych w Kildar. Reginald właśnie ma tam swój pułk odprowadzić, będzie więc zwłoki eskortował. Przed dziesiątą każ księżno zajechać powozowi przed bramę forteczną, a następnie postępywać za ciałem, które aby uwagi niczyjej nie zwracać, każemy włożyć na lawetę i okryć ciemnem suknem z wierzchu. Reginald również dostąpił wielkiego zaszczytu, iż raczyłaś go księżno przyjąć za syna. Spełni więc tylko najmilszy obowiązek, opiekując się w drodze paniami. Tem większa tego zachodzi potrzeba, iż prawdopodobnie rozruch stłumiony w Dublinie wre dalej w całej okolicy. Tego przynajmniej obawiamy się i nie bez słusznych powodów.

— Ależ — matka załkała — jeżeli nas nie będzie, któż umarłemu odda ostatnią posługę?!

— Wydałem już po temu rozkazy — zapewnił ją wice-król, sam na prawdę głęboko wzruszony — możesz zresztą księżno przysłać kogo zaufanego, aby wszystkiego dopilnował należycie.. Proszę mi go nazwać łaskawie, ażebym mu wystawił przepustkę.. Perkinsa sam po drodze uwiadomię..

Można łatwo się domyśleć, iż księżna wymieniła nazwisko Tankreda.

— Bardzo dobrze! znam go osobiście — lord Cornwallis skinął głową — Jest on nie tylko szlachcicem z rodu, ale i człowiekiem szlachetnym w dodatku, ma zaś ten przymiot nieoceniony, iż jako cudzoziemiec, nie należy do żadnej partji i nie bierze udziału w rozterkach domowych, które nas niestety dzielą stale na dwa nieprzyjażne sobie obozy.

Skoro oddalił się lord Cornwallis księżna wezwała Tankreda. Obznajomiono go z podanemi przez wice-króla warunkami. Łucja zdawała się obawiać, aby eskorta pod dowództwem Reginalda, nie okazała się zaporą niebezpieczną i nie nabawiła ich po drodze nowych trosk i kłopotów.

— Przeciwnie! — hrabia ją uspokoił — przydadzą się nam i bardzo! Proszę tylko na mnie liczyć.

I nie wdając się w dalsze objaśnienia, pospieszył do kaźni Edwarda. Perkins czekał na niego i odprowadził najgrzeczniej aż na miejsce. Zastali tam doktora Jumble. Odsłonił całun, którym ciało tymczasem przykryto, według zwyczaju w Irlandji przyjętego. Niepodobna było przypuścić, aby w tej lampie zagasłej, tliła dotąd iskierka, dająca się rozmuchać.

— Trumnę wniosą niebawem — oznajmił Perkins odchodząc.

Tankred został sam na sam z lekarzem. Opowiedzieli sobie nawzajem zaszłe wypadki; ten o tem co zaszło

w więzieniu, tamten o tych, którzy działali za murami. Gaillefontaine pragnął przypatrzeć się Edwardowi. Pozory śmierci były tak łudzące, iż nie mógł się wstrzymać od pewnej obawy.

— Uspokój się hrabio! — lekarz się uśmiechnął — śpi i jutro rano zbudzi się najniezawodniej Przejdźmy do mojego laboratorjum.. Muszę ci wręczyć antydotum, tudzież instrukcje szczegółowe, dla mojego kolegi w Kildar... Jest to jeden z moich przyjaciół najzaufańszych Mogę za niego tak samo ręczyć, jak za siebie!

— Dobrze! — wtrącił Tankred.

— Przez kilka tygodni — kończył lekarz — Edward będzie potrzebował starań jak najtroskliwszych. Dopiero po dłuższej rekonwalescencji, o tyle siły odzyska, aby puścić się w dalszą podróż.

— Tem lepiej — Tankred zauważył. — Będzie nam łatwo nałożyć na niego areszt domowy. Tymczasem obmyślimy szczegółowo, jak go wywieźć z Irlandji

Usłyszeli kroki na korytarzu; wniesiono trumnę Była z dębu czarnego jak heban. Wieko składało się z dwóch połówek, na mis ernie rzeźbionych zawiasach bronzowych, które schodziły się u góry stożkowato, jak owe daszki nad obrazami, ze starej szkoły bizantyńskiej. Na samym środku był zamek z bronzu; po dwóch bokach trumny, bogate, bronzowe antaby. Dwaj dozorcy więzienni, postawili trumnę obok łóżka. Perkins miał klucz przy sobie. Otworzył trumnę pokazując iż była wewnątrz wyłożoną czarnym atłasem pikowanym.

— Wice-król — zapewnił uroczyście — o ile czas krótki pozwolił, pragnął aby lord Fitz-Gerald, był uważany według swojego wysokiego stanowiska w społeczeństwie. Mam rozkaz wręczyć ten klucz panu hrabiemu.

Na znak Perkins'a, dozorcy zbliżyli się do ciała. Lekarz drogę im zastąpił:

— Pragniemy — zapowiedział Perkins'owi — włożyć go do trumny własnemi rękami i dopiero w chwili ostatniej. Kończę pewne z ziół nacierania, przez które chcę zachować ciało od zepsucia, zanim je w Kildar będą mogli zabalsamować.

— I owszem! — Perkins salutował ich obydwóch po wojskowemu i oddalił się, ludzi z sobą zabierając. Gdy za nimi ciężkie wrzeciądze zapadły:

— Rozumiesz hrabio! — szepnął mu lekarz na ucho — musiałby się pod temi czarnemi pierzynami udusić! Otwory są niezbędne, aby powietrze wchodziło. Na szczęście mam wszystko co potrzeba.

Z pomiędzy instrumentów chirurgicznych, wybrał rodzaj świderka ze stali, ostrego niesłychanie, którym porobił cichuteńko po pod daszkiem u góry, który dość nisko bo prawie do połowy wierzchu od trumny opadał, otworki drobniutkie, niewidzialne, a gęste po obu stronach. Zdmuchnęli starannie pyłek najlżejszy i lekarz pożegnał Tankreda:

— Potrzebuję twojej, panie hrabio pomocy, dopiero dziś wieczór — przemówił — tam zaś jesteś niezbędnym, aby wszystko do podróży przygotować. A więc do zobaczenia, o ósmej wieczór!

Tankred kazał sobie drzwi otworzyć. Poszedł natychmiast zdać sprawę dokładną do pałacu Leinster. Łucja była przy matce.

— Nie traćmy nadziei! — wpatrzyła się rzewnie w twarz Tankreda — przeczuwałam od pierwszej chwili, że brata mojego tylko pan hrabia potrafi uratować!

— Jedziesz z nami hrabio? — księżna spytała.

— Spodziewam się! —wykrzyknął energicznie —Nie porzucę Edwarda, aż gdy go zobaczę całego i bezpiecznego, po za granicami trzech królestw Wielkiej Brytanji!

Tankred musiał zająć się własnym odjazdem. Zdecydował się wziąć z sobą Pata

— Wyjeżdżam dziś wieczór na dni kilka — zapowiedział Patowi — i ciebie zabieram Na ósmą wieczór, żeby wszystko było gotowe do wyjazdu.

— *Musha!* — Pat dał susa w górę z wielkiej uciechy. — Pojechałbym z waszą ekscelencją choćby na koniec świata! Teraz zaś w szczególności rad jestem, iż będę mógł Dublinowi plecy pokazać.

— Dla czego?

— Spotkałem właśnie dziś zrana barona Homspacha'a, z głową nieprzymierzając, na bigos posiekaną. Obecnie zostało mu już tylko jedno oko, którem zerknął na mnie tak jakoś dziwnie... Wolałbym, mówiąc szczerze, nie spotykać się więcej z tym zyzem szkaradnym!.. Humor mi to psuje... Jedźmy zatem jak najdalej.. A gdzie się udajemy?

— Zobaczysz. Powiem ci, gdy będzie czas po temu...

Skoro wydał Patowi stosowną instrukcję, kazał się zawieźć czółnem na pokład statku amerykańskiego, który stał w przystani. Tam odbył z kapitanem, w cztery oczy, naradę długą i tajemniczą. Rozmowa skończyła się wręczeniem kapitanowi pewnej sumy „na zadatek.“ Przed dziewiątą wchodził napowrót do więzienia Edwarda. Stan pozornie zmarłego w niczem się nie zmienił.

— Czas włożyć go do trumny — szepnął lekarz.

Edward był przez pół rozebrany. Dwaj wierni przyjaciele, owinęli go szalem szkockim i włożyli ostrożnie do trumny. Na pożegnanie, lekarz dotknął się ustami tego czoła bladego.

— Dotknij się hrabio!—wziął za rękę Tankreda i przyłożył do czoła uspionego.

Było zimne jak marmur.

— Jeszcze raz powtarzam — uśmiechnął się lekarz, widząc nagłą zmianę w twarzy Tankreda — to sen tylko.. Ale sen na mój sposób!.. Nie zabija... lecz przeciwnie wskrzesza umarłego.

— Oby cię Bóg sir wysłuchał! — Tankred westchnął gorąco, zamykając wieko od trumny. — Do jutra!...

Te ostatnie wyrazy stosowały się do Edwarda Niemy a serdeczny uścisk, połączył Tankreda z starcem czcigodnym. Czy mieli zejść się jeszcze kiedy w życiu? Hrabia wetknął klucz w zamek, obrócił dwa razy i wsunął do kieszeni.

— Odjazd za godzinę — odezwał się głos dozorcy w otworze nad drzwiami.

Tankred kazał sobie drzwi otworzyć i puścił się pędem do pałacu Leinster. Pat czekał przed bramą z końmi i pakunkami. W dziedzińcu stała wielka kareta podróżna już gotowa. Księżna i trzy młode kobiety, z dwojgiem dziatek, wsiadły do powozu. Tony wskoczył na kozioł, bramę otworzono, zaciął czwórkę tęgich koni i kareta potoczyła się po bruku.

Noc była bardzo ciemna.

Powóz zatrzymał się na gościńcu, skoro minęli ostatnie domki na przedmieściu. Był to plac obszerny, gdzie krzyżowały się różne drogi.

Tankred zsiadł z konia i stał przy drzwiczkach ka-

rety. Nasze podróżne, nie śmiały prawie odetchnąć. Dziatki na nowo pozasypiały. Czekano...

Zegar miejski wydzwonił dziesiątą. Kilka minut upłynęło a nic nie przerywało głuchej ciszy nocnej. W około pusto, nikt się na szczęście nie pokazywał. Nagle usłyszano tentent kawalerji, zrazu niewyraźny później coraz głośniejszy i bardziej zbliżony.

Awangarda przesunęła się tylko jak zjawisko w cieniach nocy i dalej popędziła. Za nią szła wolniej laweta armatnia turkocąc ciężko i głucho po gościńcu murowanym. Na niej musiano trumnę złożyć.

— *All right*! — krzyknął hrabia i powóz potoczył się tuż za lawetą.

Po za karetą sformował się batalion z pozostałych żołnierzy w czworobok, konwojując jadących. Tankred ze swoim sługusem, kłusowali o kilka kroków od powozu.

Minęli kilka wsi, w których panowała cisza tak uroczysta, jakby wszyscy mieszkańcy opuścili swoje siedziby. Za to gdy zbliżyli się do miasteczka Naas, spostrzegli z daleka płomienie ogniska, które krwawą łuną strop nieniebieski oświetlało. Oddział wojska rozłożył się tutaj obozem. Broń była w kozły poskładana; całe bandy żołnierzy, to snuły się koło ogniska, to siedząc na kłodach zrąbanych, zajmowały się jedzeniem, a raczej wychylaniem kwaterek z whisty. Wielu z żołnierzy ledwie mogło utrzymać się na nogach, tak byli spici radykalnie. Opodal od ogniska, leżało kilkunastu wieśniaków powrozami skrępowanych.

Jeszcze dalej na drzew gałęziach, chwiały się w powietrzu, odbijając złowrogo od łuny purpurowej, czarne, długie postacie powieszonych.

— *Ma Bouchal!* — mruknął Pat przez zęby zaciśnięte. — Tu zaczyna ponuro wyglądać!...

Awangarda znalazła przed sobą jakąś zaporę, bo i laweta i powóz musiały się zatrzymać. Pat potrafił zbliżyć się do karety, w której nasze podróżne ręce załamywały, przerażone okropnym widokiem tylu nowych ofiar. Zrównawszy się z koniem swojego pana, szepnął:

— Potyczka się tutaj odbywała... Ale naszych niestety! na głowę pobito!... Arrah! te biedne ciała!... powieszono bez sądu!... bez księdza!... Nawet uczciwego pogrzebu mieć nie będą!

Dragoni, przeszkodę usunąwszy puścili się znowu naprzód. Za nimi reszta pospieszyła. Gdy miasteczko minęli, noc zrobiła się jeszcze czarniejsza. Rosił deszcz gęsty i zimny. Zaledwie można było dostrzedz w pomroku, konary rozłożyste wiązów, któremi gościniec był z dwóch stron obsadzony. Jeździec na koniu, smukły i wysoki, zbliżył się do Tankreda, i czas jakiś jechał obok w ponurem milczeniu.

Mimo kaska, które mu czoło osłaniało i płaszcza białego, którym był cały owinięty, hrabia domyślił się w jeźdźcu Reginalda.

— Jestem zrozpaczony! — szepnął wreszcie głosem stłumionym. — Byłeś świadkiem, do czegom się w obec niej zobowiązał, pod słowem honoru, pod przysięgą! Jakże bym śmiał teraz stanąć przed nią?... Musi mną pogardzać!

— Bynajmniej! — przerwał mu Tankred — bo możesz jeszcze dotrzymać obietnicy i zasłużyć na jej wdzięczność..

— Zapomniałeś widocznie—mąż Łucji odrzucił z gorzką wymówką — iż odwożę tylko martwe zwłoki jej brata!

— Kto wie!...

— Co to znaczy?...

— Nic, nic zupełnie! — bąknął Tankred. — Mogę ci to dopiero w Kildar wytłumaczyć. Skoro trumnę złożą w kaplicy, oddal czemprędzej żołnierzy, zostając z nami sam jeden, a otrzymasz dowód namacalny, jakiego masz we mnie przyjaciela.

Z doliny szerokiej, wjeżdżano teraz w wąwóz stromy i wązki niesłychanie. Po dwóch jego bokach, grzbiety pagórków były pokryte sosnami olbrzymiemi, czarniejszemi niż noc sama.

Nagle u czoła kolumny, odezwało się kilka wystrzałów.

— A, tak! zasadzka! — krzyknął pułkownik. A naprzód się z koniem rzucając: — Galopem co konie wyskoczą! — zakomenderował. — Przejechać musimy..

Był to jeden z tych rozkazów, które się natychmiast wykonywuje. Miejsce, noc czarna, wystrzały, wszystko świadczyło o bliskości grożącego niebezpieczeństwa. Po za ich plecami, odezwała się również silna kanonada, rozbudzając echa w przyległych pagórkach.

Konwój był widocznie wzięty we dwa ognie. Nieprzyjaciel atoli pozostał niewidzialnym. Przejście było tak wązkie, że kawalerja mogła ledwie trójkami postępować.

Wozy z bagażami i amunicją, nie mogły pod górę pospieszyć. Zamykały więc drogę, a w dodatku i konie do lawety zaprzężone, spłoszywszy się wystrzałami, zaczęły się plątać, wierzgać, nakoniec stanęły.

Głos potężny zagrzmiał na szczycie pagórka najbliższego. Był to prawdopodobnie rozkaz dowódcy oddziału:

— Ognia!.. Ognia w samo centrum!... A pikami atakować oba skrzydła!

Tankred poznał w komenderującym *Wild Irish'a*.

— Jakóbie! — krzyknął lecąc z koniem na oślep — stój Jakóbie! To konwój, eskortujący ciało Edwarda Fitz-Geralda, do grobów familijnych do Kildar.

Ktoś pędził z góry szybkim krokiem. Był to w rzeczy samej *Wild-Irish*. Stanąwszy nieopodal od hrabiego, spytał tonem najwyższej boleści:

— Więc i jego nie minęło rusztowanie?

— Umarł w skutek rany... z wycieńczenia. — Tankred żywo i głośno odpowiedział, nie widząc wcale w nocnym pomroku pytającego.

— W imieniu jego matki wdowy, zaklinam cię puszczaj nas wolno!... Są tam w powozie, koło którego kule świszczą i Kornelja i Łucja i dziatki Edwarda! narażone na twoje śmiertelne pociski!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

III.

Przypatrzywszy się bliżej współczesnym Michała Anioła i Dantego, spostrzeżemy z łatwością, iż różnili się oni od nas więcej jeszcze charakterem, niż umysłem. Trzysta lat policji, trybunałów sądowych i żandarmerji, trzywiekowy wpływ praw społecznych i obyczajowych, oraz powolne, ale ciągłe działania wzrastającej cywilizacji, zdołały wreszcie przytłumić w nas ogień namiętności zwierzęcych. Za czasów też odrodzenia włoskiego, siła popędów ludzkich, głębokość wrażeń, dochodziły do stopnia nieznanego nam dzisiaj; gwał-

towne żądze, wybujałe pragnienia i upór szalony stawały się podnietą woli nieugiętej a dzikiej Bez względu na pobudkę, kierującą danym osobnikiem, bez względu, czy czynami jego rządziła miłość lub nienawiść, duma, zazdrość lub ambicja. chciwość lub zmysłowość wreszcie, — sprężyna ta wewnętrzna nie ustępowała nigdy, a wzrastając i rozwijając się dochodziła do gwałtownych objawów, niespotykanych już obecnie.

Cechy te zaginione w XV. stuleciu, odnajdujemy dopiero u Napoleona, jako nieodrodnego syna burzliwej owej epoki. Pradziadowie włoscy, obok wad charakteru przekazali mu również odrębne właściwości systematu nerwowego Śmiało też można powiedzieć, że nawet u Malatestów i Borgiów nie spotykamy mózgu bardziej zapalonego i popędliwego; zdaje się, iż burza wewnętrzna wre w nim i kipi ciągle, że, jak silnie uzbrojona maszyna elektryczna, musi on za każdem dotknięciem sprawiać bolesne wstrząśnienia, lub rzucać iskry piorunne. Nigdy też myśl żadna nie pozostaje u niego w dziedzinie abstrakcji, nigdy nie ogranicza się do prostego obrazu rzeczywistości; stworzona mocą wewnętrznego popędu, powołana do życia nagłym błyskiem, zamienia się w czyn natychmiast, dąży tak szybko do przyobleczenia się w formy rzeczywistości, iż wola niezawsze ją w porę powstrzymać potrafi.

Za przykład posłużyć tu może rozmowa z senatorem Volney'em, przeprowadzona w Paryżu, za czasów konkordatu.

— Francja pragnie religji — zauważył Bonaparte.

— Francja chce Burbonów — brzmiała sucha i odważna odpowiedź Volney'a.

Rozdrażniony, Napoleon traci panowanie nad sobą i wymierza mu tak silne uderzenie nogą, iż kopnięty senator pada i traci przytomność, a przeniesiony do jednego z przyjaciół, przypłaca gwałtowność tę kilkodniową chorobą.

Trudno byłoby wynaleźć bardziej popędliwego człowieka; gniew zaślepiał go tem więcej, tem bardziej przechodził w naturę, iż Napoleon często poddawał mu się rozmyślnie; chcąc zaś przejąć kogoś strachem, natchnąć uległością lub pokorą, popuszczał dobrowolnie cugle rozdrażnieniu, a jeżeli się to działo przy świadkach, dochodził do wściekłości nawet, w tem przekonaniu, iż obudzi ona posłuszeństwo i zmusi do ustępstw. Nagle te już-to mimowolne, już z góry obmyślane wybuchy, nietylko przynoszą mu ulgę, ale pomagają w przeprowadzeniu zamiarów, zarówno w życiu domowem, jak publicznem. Używa ich też z rodziną i z obcymi, z ciałem konstytucyjnem, papieżem i kardynałami, z ambasadorami, Talleyrand'em, Beugnot'em, z każdym wreszcie, byle tylko przerazić od czasu do czasu otoczenie, utrzymując je pod wpływem wieczystego strachu.

Wobec ludu i wojska człowiek to niewzruszony; poza polem bitwy jednak, poza przyjęciami urzędowemi, maska kamienna opada, i bohater, któremu godność osobista kazała przybierać pozory obojętności i chłodu, staje się istotą tak wrażliwą, iż wewnętrzne jego uczucia ujawiają się ciągle na zewnątrz, ruch zaś mimowolny, błyskawiczny, zdradza często najtajniejsze myśli.

Gdy raz w Saint-Cloud Józefina pochwyciła go przypadkiem na gorącym uczynku zbyt czułych do innej umizgów, Napoleon rzucił się na nią w sposób tak gwałtowny, że zaledwie uciec zdołała. Niech zaś nikt nie myśli, iż ochłonąwszy spróbował ohydne złe naprawić; przeciwnie wściekły cały wieczór, starał się zamatować ją ostatecznie, łamiąc meble, jakie mu wpadły pod rękę i znieważając boleśnie nieszczęśliwą.

Nie jedyny to wreszcie przykład; — popędliwość Napoleona mnóstwo stwierdza szczegółów Oto Talleyrand lubiący zwodzić łatwowiernych, opowiada Berthier'owi na krótko przed ogłoszeniem cesarstwa, iż pierwszy konsul zamierza przybrać tytuł królewski. Berthier Bogu ducha winien, nie domyślając się podstępu a przejęty ważnością posłyszanej nowiny, przebiega salon napełniony gośćmi i, stanąwszy przed władcą winszuje mu z rozpromienioną miną powziętego postanowienia. Oczy Bonapartego zaiskrzyły się; na dźwięk zaś „tytuł królewski" wściekłość jego doszła do tego stopnia, iż wsunąwszy pięść pod brodę winowajcy, pchał go tak przed sobą aż do muru, a przyparłszy do ściany, wołał: „Niedołęgo z czyjej-że to namowy przyszedłeś drażnić mnie rozmyślnie? Radzę ci nie przyjmować na drugi raz podobnych poleceń."

Drobna ta scena doskonale odźwierciadla jego charakter, wskazuje, iż popęd wewnętrzny kazał rozdrażnionemu rzucać się na ludzi i chwytać ich za gardło; na każdej też stronce pism jego, w każdem nieomal zdaniu, odgadujemy wybuchy i napady tego rodzaju; zdaje się, że widzimy skurcze jego rysów, że słyszymy głos człowieka, który uderza brutalnie i powala przeciwnika. Dyktuje też zwykle, chodząc wielkiemi krokami po gabinecie, przyczem gdy tylko dany przedmiot żywiej go porusza, przeplata słowa swoje gwałtownymi okrzykami, dochodzi nawet do złorzeczeń i przekleństw pospolitych, które sekretarze opuszczają dyskretnie. Wybieg ten ze strony piszących nie zawsze się jednak udawał; ktokolwiek więc czytał w oryginale listy jego w sprawach duchownych, ten mógł się w nich spotkać z całemi dziesiątkami najordynarniejszych wyrażeń.

Popędliwość ta potęgowaną jeszcze była przez nadzwyczajną wrażliwość. Wśród wielu innych szczegółów, pani de Remusat opowiada, iż ubierając się, zwykł był części odzieży niecierpliwiące go narazie rzucać o ziemię, a niekiedy nawet w ogień. Gdy w dnie galowe lub szczególniej uroczyste należało przywdziać strój wytworniejszy, lokaje musieli, porozumiawszy się między sobą, w lot chwytać sposobność poprawienia mu jakiegoś szczegółu tualetowego; każdą rzecz bowiem, która go w najlżejszym stopniu krępowała, zrywał natychmiast, i darł na kawały, pokojowcy zaś wiedzieli z doświadczenia, iż oznaki gniewu dotkliwe w takich razach na nich spadają. Gorączkowy bieg myśli unosi go zresztą wszędzie i zawsze; jeżeli próbuje czasami skreślić co własnoręcznie, pismo jego jest najzupełniej nieczytelnem. Istny to szereg kresek nigdzie niepołączonych ze sobą, a o tyle niewyraźnych, iż Napoleon sam nigdy objaśnić ich nie umiał. Z początku opuszczał nieraz po kilka liter w jednem słowie, później niezdolnym był do napisania własnoręcznie najkrótszego choćby listu, tak, że autografy podpisów nawet wskazują tylko jeden niewyraźny, a często zamazany zygzak. Zmuszony wskutek tego dyktować, czyni to z szybkością, niepozwalającą sekretarzom na pochwycenie rzucanych wyrazów. Każdy też ciężką z początku przechodzi próbę, a pocąc się ze strachu nie jest w stanie zanotować połowy nawet słów cesarskich. Ztąd Bourienne, Meneval i Maret zaprowadzili system stenograficzny, bo innej rady nie było; jeżeli pióro opóźniało się, tem gorzej dla piszącego. Napoleon bowiem zdania podyktowanego nigdy nie powtórzył dwa razy; jedyną też zbawczą deskę dla sekretarzy przedstawiały wybuchy gniewnych okrzyków i przekleństw, pozwalające im uzupełnić myśl poprzednią, lub dogonić wreszcie mówiącego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PORADNIK DOMOWY.

Sposób malowania na czerwono kul bilardowych z kości słoniowej. Pobielanie kości słoniowej.

Do malowania na czerwono kości słoniowej bierze się tak zw. „Cud-beard“, po francusku „orseille“, gatunek mchu, używany w malarstwie, znajdujący się w sklepach z malarskiemi farbami. Kawałek tego mchu wielkości laskowego orzecha rozpuścić należy w pół kwarcie wody, wysuszywszy go uprzednio i roztarłszy na proszek. Czynność tę uskutecznia się w porcelanowej miseczce, dość głębokiej, iżby bila mogła się w niej zanurzyć całkowicie. Podegrzać tro bę na ogniu do temperatury zaledwie letniej, dodając jednocześnie do płynu dwie krople kwasu siarczanego. Potrzymać tak na blasze kilkanaście minut, walkując od czasu do czasu bilę, iżby się zabarwiła wszędzie w równym stopniu, w przeciwnym bowiem razie część spodnia byłaby zbyt cienmą. Gdy płyn ogrzeje się, odstawić go z ognia, pozostawiając w nim bilę jeszcze na jakieś trzy kwadranse. Poczem wydobyć, przepłukać w czystej wodzie, wytrzeć na sucho gałgankiem, a następnie dobyć połysk mocnem nacieraniem jelonkową skórką. Używa się jeszcze w tym samym celu innych farb, jako to: koszenilli, fuschiny, loiny, posiadających barwnik jeszcze energiczniejszy, ale za to i zastosowanie ich jest więcej złożone. Pobielanie przedmiotów z kości słoniowej daje się uskuteczniać po prostu wystawieniem ich na słońce. Zależne od okoliczności potrzeba na to od jednego do sześciu miesięcy. Lekkiem zwilżeniem kości terpentyną można ten czas skrócić do kilkunastu dni. Najpewniejszy jednak sposób, ten mianowicie, jaki się używa w przemyśle, zasadza się na kilkorazowem obmaczaniu kości w wodzie utlenionej. Bieli ona doskonale i prędko, a kości nie niszczy.

Wywabianie plam rdzawych z płótna.

Postępowanie z plamami rdzawemi na płótnie zależy od tego, czy plamy są świeże, czy też zastarzałe. W pierwszym wypadku wywabianie jest nader łatwe. W tym celu używamy kwasu solnego lub szczawiowego, rozcieńczonych w stosunku jednej części kwasu na 50 wody i miejsce splamione napajamy powyższym roztworem. Po kilkurazowem zastosowaniu tego środka plama znika; pozostaje wtedy plamę zmyć wodą letnią kilka razy, a następnie miejsce splamione spłukać w wodzie mydlanej. Jeżeli jednak plamy są zastarzałe, postępowanie jest o wiele żmudniejsze. Do wywabiania używamy wówczas roztworów silniejszych kwasu solnego, mianowicie jedną część kwasu na 25 wody (na objętość). Splamioną bieliznę rozciągamy na desce, pokrytej grubą warstwą bibuły lub jakiejkolwiek bezbarwnej materji bawełnianej i ostrożnie miejsce splamione napajamy powyższym roztworem, powtarzając tę manipulację kilka razy. Zwykle po trzykrotnem zmywaniu kwasem plamy ustępują, należy wtedy miejsce, gdzie kwas się znajdował, dobrze spłukać wodą, natrzeć następnie mydłem lub słabym roztworem sody i znowu spłukać wodą. Gdyby jednak plamy i tym sposobem wywabić się nie dały, należy uciec się do roztworu kwasu saletrzanego (1 część na 25 wody). Ostrzegamy jednak, że z kwasem saletrzanym obchodzić się należy nader ostrożnie, żółci bowiem i przepala bieliznę. Należy zatem natychmiast po użyciu tego kwasu zmyć bieliznę wodą i roztworem sody.

Przyrządzanie masy świecącej się w ciemności.

Masa, którą się wykładają niektóre wyroby galanteryjne, jako to: zapalniczki, cyferblaty i wskazówki od zegarków, guziki od dzwonków elektrycznych itp. przedmioty, mające własność świecenia się w ciemności, przyrządza się w sposób następujący. Podstawą masy są skorupy z ostryg lub ości ryby morskiej, sepji; mianowicie 100 gramów węglanu i fosforatu wapna, otrzymanego ze zwęglonych na popiół muszli ostrygowych (o sepji nie mówimy, gdyż o nią zbyt u nas trudno), mięsza się ze stoma również gramami czystego, niegaszonego wapna, do tej mięszaniny, starannie przerobionej, dodaje się następnie 25 gramów sprażonego chlorku sody, od 20 do 25% ogólnej masy, siarki i nakoniec od 3 do 7% któregokolwiek z czterech następujących siarków: siarku wapnia, siarku baryty, stroncjanny lub magnezji. Każdy z tych siarków przed domięszaniem powinien być uprzednio wystawiony jakiś czas na światło dzienne, na słońce. Dla powiększenia siły lśnienia, fabrykanci tych wyrobów dodają jeszcze do wyżej wymienionych substancyj popiołu, wypalonego z niektórych roślin morskich, między innemi popiół z tak zwanych *aigues marines*. Proszki te po przemięsz niu nakładają, przy pomocy jakiegoś werniksu, na przedmiot, mający lśnić się w nocy. Można je rozprowadzić także w połączeniu z parafiną, collodium, klejem rybim, a nawet ze szkłem roztopionem, przyczem przedmiot taki zachowuje ciągle swą własność charakterystyczną.

Łamigłówka głoskowa

(Prof. Morawskiego z Tarnowa)

*											Miasto czeskie
	*										Imię słow.
		*									Miasto niemieckie
			*								Król babil
				*							Muza
					*						Prowincja amerykańska
						*					Roślina
							*				Płaz
								*			Kawałek ziemi naszej
									*		Część Londynu
*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	?

Przekątnia tej szachownicy i jej podstawa mają wydać nazwisko i imię znanego pisarza, jeżeli w jej kwadracikach rozmieścimy stosownie następujące litery: aaaaaaaaaaa, bbb, ccccc, d, eeeeeeeeeee, f, ę, ggggg, hh, iiiiii, jj, kkkk, l, mm, nnnnnnnnnn, ń, oooooooooo, óó, ppp, rrrrr rrrrr, ssssssss, ś, tttt, wwwww, yyy, zzzzzzz

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **Szumskiego „Nie ziemia winną“**

Rozwiązanie zadania krystalicznego.

C
C Y D
C A P U A
C H A R K O W
D A N T Y S Z E K
L A G O M A G I O R E
T E O D O R N A R B U T T
C Y P R Y A N G O D E B S K I
E D W A R D O D Y N I E C
A R C H I D I A K O N
Z E G I E S T O W
B A R B A R A
S O S N A
A K R
I

Cypryan Godebski.

Trafne rozwiązanie zadania krystalicznego nadesłali: P. M. Bernacka z Krakowa i p. Wanda Kopacz ze Stanisławowa.

Nagrodę otrzymała p. M. Bernacka.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz. Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.